1923 r. PAŹDZIERNIK № 19.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI

Serce myśliwego.

Serce myśliwskie bije w rytm otaczającej je przyrody. Uderzenia jego zlewają się w harmonijną pieśń z szumem puszczy, z hymnem górskiego potoku, z szelestem trzcin i głosem dzikiego zwierza.

Raz powolne i majestatyczne, jak łopot orlich skrzydeł, to znowu przyśpieszone, rytmiczne, jak lot dzikich kaczek na wieczornym ciągu po niebie z purpury i złota.

Czasami serce uderzy głucho, jak gdyby rozebrzmiał zew miłosny króla kniej, czasem gwałtownie skoczy, niczem spłoszony zwierz, a czasami przystanie cicho, jak czający się w ostępie drapieżnik.

Blade świty i płomienne zachody, gorejące południa i noce gwiaździste przemawiają do myśliwskiego serca głosem tkliwym i tak bezmiernie kochającym, jakby to był kobiety umiłowanej zew.

A na glos ten kuszący serce myśliwego drży z rozkoszy miłosnej, a dusza rwie się do wiosennego lasu, gdzie brzmi pieśń głuszca, do złotych pól i kwietnych łąk, letniem słońcem nagrzanych, do ostępu, który jesień ubrała we wszystkie kolory i rozśpiewała gonem ogarów lub też zima wysrebrzyła i ukołysała do lodowego snu.

Zimny lodowy sen! Serce myśliwego bije młotem, czytając na białych kartach ponowy czarowne opowieści o tajemnicach kniei...

I czyste jest serce myśliwego, chociaż nieraz na widok krwi drży z roskoszy. I łagodne jest, choć je nieraz śmierć radością napawa.

Człowiek obcy nie zrozumie nigdy tego serca. Pozostanie ono dla niego wieczną zagadką. Nie zrozumie tego serca, które ma w sobie czasem słodycz dziecięcą, a czasami drapieżność dzikiego zwierza.

Ale człowiek obcy nie zrozumie również przyrody. Bowiem cała tajemnica myśliwskich serc polega na tem jedynie, iż biją one w rytm otaczającego je dzikiego świata.

I dlatego mają w sobie łagodność błękitu, to znów dzikość bestji leśnej; majowego poranku wesele, to znów smutek zimowych wieczorów, gdy wycie wichru miesza się z wyciem zgłodniałych wilków.

I wielkie jest to serce myśliwskie, skoro zmieścić w sobie może świat cały, — wszystkie jego smutki i radości, wiosny i zimy, cisze i huragany...

Juljan Ejsmond.

DZIKI W ŚRODKOWEJ AZJI.

By zrozumieć sytuację, trzeba sobie uprzytomnić, że krajowcy Środkowej Azji wyznają religję mahometańską. Wskutek niskiej kultury są oni pod przemożnym wpływem swego duchowieństwa, mułł i imamów, którzy sami ściśle wypełniają religijne obrządki i surowo przestrzegają tego wśród współwyznawców. Po zajęciu Fergany przez Rosjan najpierwszym skasowanym przez nich urzędem był urząd kazy-reisa (sędzia sprawiedliwości). Objeżdżał on swój rejon z konnymi pachołkami. Starszy wiózł w ręku dyscyplinę z grubej podeszwy, lub kilkakrotnie zszytej grubej skóry, szerokości dłoni (dora), którą winni wykroczeń religijnych byli chłostani publicznie na ulicy lub w meczetach.

Mahomet uznał świnię za zwierzę nieczyste. Stąd nietylko w całym Turkiestanie lud nie znał świni jako zwierzęcia domowego, lecz i do dzików czuł wstręt instynktowny. Być zranionym, lub, broń Boże, zabitym przez dzika uważane było za hańbę, za karę Boską, i wypadek taki ukrywano przed krewnemi. Dotknięcie się ręką do świni — określane było słowem „haram" (nieczysty) i wymagało specjalnego „obmycia" przy stosownych modłach mułły. Stąd przy obławach trudno było zmusić naganiaczy, aby zabite dziki podnieśli i położyli na konia lub arbę. Zarzucano im zwykle pętle na nogi i wleczono je po ziemi na sznurze, przywiązanym do siodła.

Przy takim stosunku krajowców do dzików, przy wielkiej płodności tych ostatnich, absolutnym braku broni palnej, którą Rosjanie pozwalali trzymać tylko w wyjątkowych wypadkach — dla samoobrony (a więc rewolwery), łatwo sobie wyobrazić do jakiego stopnia rozpleniły się dziki w całym kraju. Stada z 50 — 70 sztuk napadały na pola, niszcząc je do szczętu. Szczególniej cierpiały pola zasiane kukurydzą lub dżugarą (sorgo), którą dziki wyrywały z korzeniami. Było to prawdziwą klęską dla krajowców. W rejonie swoim urządzałem częste obławy, bijąc dziki dziesiątkami. Krajowcy dzielili dziki na dwie kategorje:—przebywające stale w trzcinach i rozlewach, które niszczyły posiewy ryżu i żyjące w górach, wśród orzechowych i dębowych lasów. Te ostatnie zstępowały z gór w doliny ogromnemi stadami przeważnie w jesieni, kiedy dojrzewała dżugara (sorgo) i kukurydza.

Pierwsze z nich były znacznie większe i tłustsze. Polowanie na nie było bardzo niebezpieczne z powodu terenu; gęsta wysoka trzcina, w której na ścieżkach wydeptanych przez zwierza orjentować się niezwykle trudno lub wąskie wały (szerokości mniej niż na 1 metr), dzielące pola ryżowe na kwadraty. Po wałach tylko można się było posuwać, gdyż pola ryżowe, zalane zawsze wodą, przedstawiają w okresie rośnięcia błotniste tereny, w których brodzić trzeba po błocie powyżej kolan. Na obławę w trzcinach krajowcy wychodzili bardzo niechętnie, bo konno wjechać nie mogli, a na piechotę obawiali się zagłębiać w trzciny. Prócz tego strzelców nie było. W okresie tym miałem tylko jednego towarzysza, pocztyljona Siemionowa, marnego strzelca, ale zapalonego myśliwego, który prawie całą gażę swoją oddawał kolegom, żeby go zwolnili z obowiązkowych dyżurów i żeby mógł towarzyszyć mi w czasie obław. Na dżygitów (milicjantów-krajowców) w polowaniu tem nie można było liczyć, bo na dziki, szczególnie w trzcinach, ruszali więcej niż niechętnie, często niewczesnym strzałem psując całą obławę. To też i wyniki tych obław były bardzo małe i sprowadzały się najczęściej do 2—3 zabitych sztuk i przepędzenia grasujących stad z jednej miejscowości do drugiej. Szczególniej niebezpieczne bywały spotkania w trzcinach z odyńcami, wypędzonemi ze stad i błądzącemi pojedyńczo, gdyż odyniec taki rzucał się na strzelca z niesłychaną wściekłością. Miałem raz taki wypadek: wójt gminy Szarychan doniósł mi, że w rozlewach Szarychan Saja zagnieździło się duże stado dzików, które niszczą posiewy ryżu, będącego podstawą pożywienia tamtejszych krajowców. Wyjechałem natychmiast na miejsce w towarzystwie nieodstępnego Siemionowa i kilku milicjantów. Objazdy rejonu robiłem wtedy tylko konno. Innego sposobu lokomocji nie było. Kolej Środkowo Azjatycką budowano i dopiero najbliższa stacja Czardżuj, na Amu-Darji była odległa o 1200 kilometrów, a jedyny pocztowy trakt łączył stolicę kraju Taszkient z gubernjalnemi i powiatowemi miastami. Zresztą i dróg dla naszych powozów nie było. Krajowcy znali tylko dwukołowe arby na wysokich 3-me-

trowych kołach, zaprzężone w jednego konia. Na arbach tych wożono towary; czasami jeździły kobiety w arbach z budą, pokrytą wojłokiem. Mężczyźni jeździli tylko konno, wioząc za sobą żony, czasami z małemi dziećmi na ręku.

Zarządziwszy zbiórkę na obławę z wieczora, o świcie zajechaliśmy na miejsce. Rozstawiłem obławę, zostawiwszy przy wieśniakach milicjantów celem utrzymania porządku i podtrzymania linji, a sam z Siemionowem zboczami wyjechaliśmy o 3 kilometry przed miotem. Oddawszy konie przewodnikowi, piechotą poszliśmy przez wały, dzielące ryżowe pola na kwadraty, przedostając się na środek zasiewów ryżu. Szliśmy oddzielnie, ja jednym wałem, Siemionow drugim, o jakie 60—80 kroków odemnie. Obława była daleko. Ledwie dochodził nas głuchy warkot surm i bębnów. Szliśmy w stronę niewielkiego wzgórza między polami, porosłego trzciną, mając zamiar ukryć się tam i przygotować do przyjęcia dzików, pędzonych przez obławę. W tym czasie sztucera jeszcze nie miałem i na dziki brałem zwyczajny krótki kawaleryjski karabin Berdana, którym była uzbrojona milicja, tylko strzelałem kulą rozpiłowaną na krzyż i pogrążoną w wosku z sadłem. Kula taka trafiając w kość — płaszczyła się, druzgocząc wszystko po drodze i robiąc ogromną ranę wychodnią. Oprócz tego, polując specjalnie na dziki, brałem ogromny afgański pistolet 10 kalibru z dwiema lufami, z których jedna znajdowała się nad drugą. Pistolet ten nabijał się specjalną kulą podłużną, bił doskonale na 10—15 kroków i wisiał na pasie na łatwo odpinającej się klamrze. Dzików oczekiwaliśmy od strony obławy; szliśmy powoli w stronę pagórka.

Naraz najniespodziewaniej z trzciny na pagórku, który był najdalej o 100 kroków, wyłonił się ogromny odyniec, zatrzymał się na sekundę, podniósł głowę, zobaczył mnie i pędem rzucił się na mnie, biegnąc wałem, po którym właśnie szedłem. Na moment zdębiałem i nim zerwałem z pleców karabin i dałem ognia — dzik był już o jakie 30 kroków odemnie. Po ruchu zwierza w prawą stronę zrozumiałem, że kula opaliła go tylko, a że nabić karabinu drugi raz nie było czasu, więc rzuciłem go na ziemię i wyrwałem pistolet, strzelając o jakie 5—8 kroków. Na szczęście obie kule trafiły, druzgocząc mu ryj i szczęki. Dzik na minutę się zatrzymał--harcząc krwią i ryjąc wściekle ziemię i rzucił się z wału do błota, właśnie wtedy, kiedy stałem przed nim zupełnie bezbronny z dymiącym się tylko pistoletem w ręku.

Tymczasem Siemionow, widząc, że jestem w śmiertelnem niebezpieczeństwie, odruchowo skoczył w błoto, idąc mi na pomoc, zapadając przytem miejscami po pas w grzązkie bagno i niosąc broń wysoko nad głową. Widziałem, że parę razy złożył się do strzału, ale nie dał ognia, bo z dzikiem byliśmy na jednej linji i bał się ugodzić we mnie. Wreszcie strzelił gdy dzik przechodził koło niego o jakie 10 — 20 kroków, zapadając się w błoto, z którego tylko głowa jego widniała. Czy trafił? nie wiem. Słyszałem tylko, że loftki zagwizdały rykoszetując po wodzie. Odyniec w tej sekundzie zwrócił się w stronę Siemionowa, który chcąc odskoczyć w bok, pośliznął się i upadł w błoto. Dzik zaś poszedł dalej, dążąc do następnego wału. Tu już ja zdążyłem założyć nowy ładunek do berdana i dałem ognia w chwili, gdy dzik wyłonił się z błota, wlażąc na wał. Kula przebiła mu kość pacierzową. Dzik bezradnie chwycił się parę razy przedniemi racicami za brzeg wału i runął w błoto.

Dopiero teraz odetchnąłem swobodnie. Pomogłem wyjść z bagna Siemionowowi, który po błotnej kąpieli wyglądał jak nieboskie stworzenie. Obejrzeliśmy teren walki, znalazłszy na nim odstrzelony ryj odyńca i dolną część jego prawej szczęki.

Trwało to najwyżej 4 — 5 minut, a przeżyte wtedy chwile dotąd stoją mi w pamięci.

Tymczasem obława się zbliżała. Bębny i surmy słychać było coraz wyraźniej. Lada chwila oczekiwaliśmy pojawienia dzików, pędzonych przez nagankę. Poszliśmy więc szybko na pagórek i ukryliśmy się w trzcinie. Strzelba Siemionowa była pełna błota. Trzeba było rozebrać ją i oczyścić. Oddałem mu pistolet, a sam zostałem tylko z Berdanką, pilnie obserwując teren, choć zdawało mi się, że cztery strzały, dane przez nas przed naganką, zawrócą dziki w inną stronę.

Rzeczywiście przeszło dobre pół godziny w naprężonem oczekiwaniu. Obławę słychać było coraz bliżej, a dzików nie było widać. Siemionow czerpiąc wodę czapką — jako tako przemył swoją broń i przetarłszy ją tłuszczem, począł nabijać, gdy na równoległym wale na lewo od nas pokazało się stadko dzików złożone z 7 sztuk, biegnąc powolnym krokiem. Na przedzie szedł stary samiec, podnosząc łeb do góry i bacznie wpatrując się przed siebie, za nim o kilkanaście kroków warchlak 2-latek, potem matka, a w końcu 4 prosięta kilkomiesięczne. Siedzieliśmy w trzcinie, jak w loży teatru Nerona, lubując się biegnącemi w słońcu zwierzętami. Nakoniec dzik zrównał się z nami. Dałem ognia. Dzik poderwał się, zrobił dwa szalone skoki i runął w błoto. W tejże chwili Siemionow dał dwa strzały. Jeżeli trafił, to tylko zranił, gdyż strzelał o jakie 100 — 120 kroków, co dla jego broni było zadaleko. Dość że stadko jak strzała pomknęło naprzód. Założywszy nowy ładunek, nastawiłem celownik na 400 kroków i dałem jeszcze jeden strzał, lecz bez rezultatu. Tymczasem obława zbliżając się do nas, wypędziła jeszcze dwa stadka, które, słysząc strzały, ominęły górkę zdaleka, tak że nie doszliśmy już do strzału.

Gdy nadeszli milicjanci pędzący obławę — Siemionow z ich pomocą wyciągnął obydwa dziki na wały i wziął ich kły do swej kolekcji, powtarzając: „Inaczej nikt nie uwierzy, że się tyle tych potworów nabiło“. Odyniec rzeczywiście był ogromny i gdyby nie 10-kalibrowy pistolet, miałbym z nim ciężką przeprawę.

Gen. Bronisław Grąbczewski.

(Dokończenie nastąpi).

Myśliwstwo jako środek leczniczy.

Żyjemy w czasach usiłowań by rozwinąć i utrzymać fizyczne zdolności człowieka. Do szkół wprowadzono gimnastykę, założono towarzystwa gimnastyczne, z obowiązkowej szkoły wojskowej uczyniono jeden wielki środek do osiągnięcia tego celu, a główne usiłowania skierowano w różne rodzaje zmyślnie obmyślanego sportu. W najszerszych kołach ludzkości uznano, iż w dzisiejszych zabiegliwych potrzebach życia, gorączkowo żywej pracy i nerwowych usposobień w stosunku do tych wymagań utrzymanie hygieny ciała i zdrowe cielesne ćwiczenia są nieodzowne dla osiągnięcia równowagi. I słusznie, wszakże: mens sana in corpore sano. Przykład jest nam dany z dalekiej starożytności: Grecy i Rzymianie ćwiczyli ciało w igrzyskach, a nasi praojcowie w wyprawach myśliwskich, które u wszystkich ludów Północy uchodziły za manewr przygotowawczy do wojny, za pole popisu sprawności ciała i odwagi ducha.

I dzisiaj łowiectwo jest czynnikiem wychowawczym, chociaż już nie, jak za czasów praojców naszych, jedynym środkiem ku rozwinięciu dzielności w walce z nieprzyjacielem, to jednak jako ogólny środek wychowawczy, jako prezerwatywa przeciw codziennej walce o egzystencję, przeciwko niebezpieczeństwom, cierpieniom, pokusom ciała i duszy. W tem znaczeniu łowiectwo wzmacniające ducha i ciało, działa ożywiająco, jako zródło wychowawcze i odmładzające, działa jako najlepszy lekarz.

Dr. R. Kreuchner, lekarz i myśliwy, w artykule „Myśliwstwo a zdrowie“, omawiając zdrowotne znaczenie różnych sportów, podkreśla, że żaden sport nie posiada tylu zalet pod tym względem, co uprawianie myśliwstwa. Sport myśliwski łączy wszelkie zalety ćwiczeń ciała w jeden zespół. Warunkiem jednak nieodzownym, dodaje, aby myśliwstwo miało istotnie tak dodatni wpływ na organizm, jest nie mieszać kultu Djany z kultem Bachusa.

Nie potrzeba wszakże wielu znajomości fachowych, ażeby uznać i udowodnić, jak zdrowe myślistwo działa na ciało ludzkie.

Przedewszystkiem łowiectwo daje hart, który przy wszelkiego rodzaju chorobach, jako najbardziej zapobiegawczy środek należy uważać. Skłonności do kataru i influenzy, które często jako pierwsze objawy choroby organów oddechowych uważać należy, jest u zahartowanego myśliwego zupełne wykluczone, tak jak u wszystkich szczepów koczujących i wędrownych. Płuca, skutkiem ciągłego przebywania na świeżem powietrzu wzmacniane przez naturalną gimnastykę oddychania, wolne są od niebezpieczeństwa zakażenia przez bakcyle. Jeżeli przy newrozie i t. p. wadach sercowych forsowne wysilanie szkodliwie działa, to jednak umiarkowane uprawianie myśliwstwa przy podobnych chorobach, które częściowo z nerwowych powodów, częściowo z niedostatecznej cyrkulacji krwi pochodzą, jedynie polecić należy. Znane są wypadki, w których zupełnie wyleczenie od cierpień sercowych, objawiających się słabością i uczuciem strachu, przez umiarkowane wykonywanie łowiectwa zostało osiągnięte.

Rozumie się samo przez się, iż myśliwi cierpiący na serce powinni dla własnego dobra poradzić się lekarza, czy ukochane przez nich łowiectwo może ich uleczyć z choroby.

Nawet dla nieobeznanego z medycyną jest rzeczą jasną, iż ruch na wolnem powietrzu wzmacnia muskulaturę. A ponieważ przy chodzeniu i muskuły brzuszne działają, regulując trawienie, polowanie sprzyja należycie przemianie materji. I na cierpienia hemoroidalne ma to wpływ niewątpliwy. Pobudzone krążenie krwi, które na ogół organizmu ludzkiego działa tak zbawiennie i posila wszystkie nerwy, jest środkiem zapobiegawczym przeciwko neurastenji, hipochondrji, i najmodniejszej ze wszystkich chorób—tak pospolitemu dzisiaj paraliżowi.

W przeważnych wypadkach myśliwstwo leczy duchowe przemęczenie lepiej niż najdroższa kuracja w modnych „wodach.“

Obserwowałem to wielokrotnie i przez czas dłuższy w sąsiedztwie mojem w majętności R., do której należał piękny las i obfite w ptactwo polowanie polne. Do tamtejszego nadleśnictwa w czasie polowania na kury zjeżdżało mnóstwo myśliwych i to przeważnie z Baden-Baden, Naucheim Wiesbaden i t. p. znanych miejscowości kuracyjnych. Miałem kilkakrotnie sposobność z tak daleka przybyłymi nemrodami (zazwyczaj b. otyłymi), nawiązania pogawędki na temat powodu tak niezwykłej wyprawy.

Otóż wszyscy byli tam na kuracji, a tłómaczyli, iż na wszelkie ich cierpienia, powstałe z pobytu i zajęć miejskich, za najlepsze lekarstwo uważają myśliwstwo. A był tam i 210 funtowy lekarz, który pozostawiał na polach wielkopolskich corocznie 13 funtów swojej wagi... żyjąc, jak mnie zapewniał, taniej i zdrowiej jak w Marjenbadzie. I wierzę, wszakże naturalny sposób pozbycia się tłuszczu — jest najhygieniczniejszy, a żądza która czciciela Djany na jego wyprawach myśliwskich przejmuje, jest niejako środkiem suggestji przeciwko cielesnym niedomaganiom i objawom, które z życia biurowego i przeciążenia duchowego w tak powszechnej dziś walce o byt powstały. Organy zmysłowe, mianowicie oko i ucho, ćwiczą się i wzmacniają, apetyt się powiększa, brak krwi, który z powodu niedostatecznego dopływu świeżego powietrza powstaje, przez bezustanny do-

pływ tlenu oddziaływa korzystnie i przez obfite wydzielanie potu poprawia soki, a szkodliwe materje wydala. Odpowiedź na pytanie, jak daleko łowiectwo jako lekarz w dziedzinie poprawy organizmu musi działać ze skutkiem, dałaby się w nieskończoność przeciągnąć, lecz nie mam zamiaru, jako niefachowy, poruszać i rozpatrywać sprawy obchodzące specjalnie medyków. Ale hygiena i patologja stały się przecież o tyle powszechną wiedzą, że ich zastosowanie do trybu naszego życia i systematycznego hartowania się przez wszystkich zrozumiane i zastosowane być może i powinno.

Bezwątpienia pewne umiarkowanie i ostrożność przy wykonywaniu polowania odpowiednio do odporności ciała i usposobienia są nieodzowne, jeżeli łowiectwo działać ma jako czynnik zdrowotny. Zaprzeczyć bowiem nie można, że bezmyślne trudy nieraz przeciwny osiągają skutek. Niezawodnie najniebezpieczniejsza jest zasiadka w dole wilgotnym, lub w ambonie*) przy wietrze i niepogodzie, zwłaszcza, gdy poprzednio przez szybki bieg lub daleki pochód temperatura ciała zbytnio się podwyższyła. Skutki takiej nieostrożności powodują nieraz przykrą pokutę, np. nabycie podagry lub, jak to niestety wiem i z własnego doświadczenia, postrzału reumatyzmowego. Dla tego niechaj każdy będzie własnym lekarzem i nie grzeszy lekkomyślnie, wstępując w ślady św. Huberta, przeciwko regułom hygieny, ale przy wątłej konstrukcji ciała niechaj domowy lekarz zawsze ostatnie wypowie słowo, czy łowiectwo w tym wypadku jest odpowiednie, aby mogło z nim współdziałać.

Bądź co bądź naogół biorąc, łowiectwo, jak widzimy, jest lekarstwem skutecznem na wiele chorób ciała, a największa jego ujemność polega na tem, iż go niestety nie w aptece, t. j. nie wszędzie nabyć można. Ale nie tylko dla ciała jest lekarstwem, są wypadki, jak to czytamy w pięknej powieści myśliwskiej Ganghofera: „Milczenie lasu“, że i duszę uleczyć może.

Wł. Janta-Połczyński.

*) „hochstand“. (Przyp. Red.).

Z kresów wschodnich.

Wojna światowa wstrząsnęła zasadami prawidłowego polowania; ludzie, zajęci obroną swego mienia i życia, zmuszeni byli zapomnieć o najszlachetniejszym ze sportów. Z tej też przyczyny zwierzostan naogół poprawił się, co spowodowało, że ochrona lokalnego zwierzostanu ustała, zorganizowane łowiectwo, (zwierzyńce w bogatszych majętnościach) było naruszone. Zwierz rozbiegł się po różnych miejscowościach i częstokroć tam, gdzie nigdy nie można było spotkać dzika i sarny, dziś są ich całe stada, które podczas wojny nie były ścigane i mnożyły się licznie. Wyginęły kuropatwy i cietrzewie jedynie z przyczyny, że licznie rozmnożyły się lisy. Obecnie ilość lisów częściowo się zmniejszyła z przyczyny epidemji, znaczna też część została otruta przez amatorów tego sportu, jeśli go można tak nazwać. W tym roku są już na kresach cietrzewie i kuropatwy, zajęcy bardzo dużo. Sarny pojawiły się w dużej ilości, słowem, że zwierzostan Polesia poprawia się znacznie. Lecz przyszłość wróży nam najsmutniejsze horoskopy dzięki pladze kłusownictwa, jakie u nas zaczyna się rozwijać.

Władze nasze leśne, przez lekkomyślność czy niedbalstwo, czynią w tej mierze największą krzywdę ochronie zwierzostanu. Pozwolono mieć gajowym nieraz po trzy psy gończe. Taki usankcjonowany kłusownik, chodząc z niemi codziennie przez cały rok podczas obchodów lasu, tak ułoży je do ścigania zwierza, wybierania jaj ptasich, łowienia młodych sarenek, że chyba żaden kłusownik takiej szkody nie zrobi zwierzostanowi. Sam ów jegomość strzela do sarny i kozła w czasie zakazanym, całe kadzie ma mięsa solonego i jako człowiek niekulturalny, sam nie widzi, że szkodę robi samemu sobie niepowetowaną, gdyż stanowczo twierdzę, że ilość sarn w lasach rządowych zmniejsza się rok rocznie. A przecież obszerne lasy u nas na Polesiu, przy prawidłowem prowadzeniu zwierzostanu, mogłyby służyć za wzór całej Europie.

By temu zaradzić, powinny być wydane natychmiastowe zarządzenia:

1) Aby nie wolno było gajowym, rewirowym, podleśniczym trzymać innych psów niż przy gajówce na uwięzi nie więcej jak jednego.

2) Broń dla obrony tylko krótką wydawać. Obecnie są wydane karabiny starego typu austryjackie i choć wydają się kule po 20 sztuk, lecz sami gajowi mi opowiadali, że po wystrzale dorabiają kule i nabijają gilzy nanowo, więc może taki kłusownik tępić zwierza, ile mu się spodoba.

Okoliczne wioski powinny być zrewidowane przez władze. Poprzedzić ową rewizje rozporządzeniem wydania broni w ustalonym terminie pod karą więzienia rocznego conajmniej. Oprócz poprawienia zwierzostanu ukróciłoby to bandytyzm, który u nas przybiera zastraszające rozmiary.

Będąc na polowaniu w jednej dużej majętności, opowiadał mi administrator, że tak mu dokuczyły te wyprawy karabinowe miejscowych włościan, iż zrobił samorzutnie, bez uprzedzenia

władz rewizje w sąsiednich wioskach, odebrał około 30 karabinów i zaprezentował je policji. Jest to bardzo smutny objaw ślamazarności miejscowych władz. I Kółka łowieckie dużo w tej mierze mogłyby również zdziałać; choć nie są subsydjowane przez rząd, mogłyby roztoczyć opiekę nad zwierzostanem, gdyby im ułatwiono dzierżawę rządowych lasów, co równałoby się subsydjom. Czuwanoby wówczas nad prawidłowem polowaniem w lasach rządowych w swym własnym interesie, jak również przez lepsze pojmowanie sprawy, która niestety czasami źle jest traktowaną przez panów nadleśnych.

Bardzo byłoby pożądanem, aby nasi wiejscy pedagodzy, rozpoczynając naukę, przy abecadle już uczyli dzieci, co to jest ochrona zwierzyny i jaka jest korzyść z jej rozmnożenia. Niestety, u nas na to nie zwracają żadnej uwagi. Wiosną chodzą całemi partjami chłopcy ze specjalnie wyuczonemi psami, które wyszukują gniazda kacze, cietrzewie, nawet kuropatwie. Robi to wszystko ciemnota. Przypominam sobie taki fakt. Byłem na polowaniu w guberni Witebskiej z miejscowym naczelnikiem powiatu (sprawnikiem), gdzie w izbie chłopskiej raczono nas jajecznicą z jaj kaczych i cietrzewich! Nie przyszło im nawet na myśl, że władza może za to pociągnąć do odpowiedzialności!

Oby takie przykłady nie miały miejsca u nas na Polesiu, co przy tak słabym dozorze bardzo możliwe.

Powtarzam, że wszelkie zarządzenia w tym zakresie powinny być wykonane w bardzo szybkiem tempie, nie w taki sposób, jak zarządzenie o zmianie terminów polowania na zające zamiast od 1 października—od 1 sierpnia, które otrzymano w województwie 21 września. Czas nagli, zbliża się czas polowań, błota wyschły, taki usankcjonowany kłusownik ze swemi pieskami wszędzie dotrze, i póki fury całe papierów, odnośników, memorjałów, ankiet napiszą, niejedna setka kozłów, sarn i dzików zginie.

Józef Szeliga-Łańcucki.

Pies myśliwski.

(*Dalszy ciąg*).

Sztolcman powiada, o polskich ogarach, iż były to przeważnie psy Ś-go Huberta, lub rasy bezpośrednio od nich pochodzącej. Rozumie się, że przez tak długi okres czasu nie mogło się obyć bez domieszki innej krwi lub skarłowacenia niektórych odmian; szczególniej w niektórych psiarniach litewskich widać pewien wpływ gończych typu wschodniego".

Jako typ zasadniczy ogara polskiego podaje A. Sztolcman psy widziane przezeń w lasach Klewańskich na Wołyniu. „Były one, jak na ogary b. duże, silnej budowy i na mocnych, proporcjonalnie długich nogach. Głowy miały dość duże, o łbach z boków nieco spłaszczonych, wypukłych, o mordach wydłużonych i tępo uciętych, przyczem warga wierzchnia była dość obwisła i nie tworzyła fałd. Uszy miały dość długie, osadzone ani zbyt wysoko, ani zbyt nizko, szerokie i u dołu zaokrąglone. Skóra na łbie i szyi była obfita, lecz nie tworzyła wyraźnych fałd, jedynie podgardla wyraźnie się zwieszały. Sierć miały krótką, tylko na dolnej stronie ogonów i pod brzuchem nieco dłuższą. Maści były czarnej podpalanej; zaledwie parę z nich miało końce łap białe i takież strzałki na piersiach. Goniły te psy dolnym wiatrem".

Podobne psy, tylko lżejsze w budowie ogólnej widziałem osobiście w okolicach Stoczka Łukowskiego w Siedleckim. Według zapewnienia starego myśliwego p. Ch., wielkiego zwolennika polowania z gończemi, — ogary te są b. charakterystyczne, jako gończe psy polskie lżejszego typu. Na Litwie, graniczącej z Rosją, widać na ogarach naszych wpływ gończych typu wschodniego, jak również i łajek, co się wyraża w posiadanej przez niektóre odmiany tamtejszych gończych drugiej, spodniej warstwy sierci a raczej puchu.

Gończe niemieckie.

Psy gończe niemieckie (Brachen, Laufhunde) są najbardziej do naszych ogarów zbliżone, jednak odznaczają się przy względnej lekkości skłonnością limfy. Psy te pochodzą również zapewne od psów Ś-go Huberta—tylko, że z biegiem czasu były z różnemi pospolitakami bardziej zmieszane, więc też więcej, niż nasze ogary typ swego przodka zatraciły. Wilckens wyprowadza ich rodowód z jeszcze odleglejszych czasów; mówi on, że „już pośród helwecko-galijskich budowli palowych z La Têne (nad Neuenburgsee) były czaszki takich zwierząt znalezione i, że u Germanów były Laufhundy jako segusii, seuces i Bracki jako braccones wzmiankowane. Psy te wogóle są mało szlachetne. Uszy posiadają wyżej osadzone, niż podobne psy francuskie i angielskie — i bez podwinięcia. Maść winna być jednolita: czarna z podpalaniem lub różnych odcieni żółta. Rasy nie są

zupełnie ustalone: trafiają się psy o tępszych i ostrzejszych pyskach. Wymienię tylko ich odmiany: 1) Steinbracke (okol. Ruhr.) 2) Holzbracke (gończe westfalskie.) 3) Haidbracke (g. hanowerskie). Ogary holsztyńskie — średniego wzrostu, masywne.

Posokowiec.

Prócz tego do tej samej grupy należą posokowce cz. Schweisshundy służące do gonienia ranionej zwierzyny: istnieją dwie odmiany: 1) posokowce bawarskie i 2) p. hannowerskie. Do grupy gończych niemieckich należy też zaliczyć tropowca hannow. Różnica między posokowcem (Schweisshund) i tropowcem (bloodhound, limier) polega na tym, iż posokowiec służy do gnania ranionego zwierza, przyczym po zgonieniu go, ma głosem, bez rzucenia się nań, myśliwego o miejscu, gdzie zwierzę padło — zawiadomić. Tropowiec zaś służy głównie do wyparowywania zwierzyny z kryjówek i do tropienia po zimnym śladzie. Na zakończenie opisu grupy ogarów wspomnimy jeszcze o gończych wschodniego typu, od których rosyjskie ogary pochodzą. Psy te odcinają się zupełnie od rodzajów wyżej przez nas omawianych—ale też i inna krew w nich płynie.

Gończe rosyjskie.

Zasadnicze rasy były dwie: kostromska i staroruska. Dziś druga już nie istnieje. Kostromska zaś rasa miała być sprowadzona do Rosji przez Tatarów. Ma to być produkt krzyżówki starych gończych północno-afrykańskich z psami typu północnego a więc zapewne z dużemi łajkami. Od psów tych łajek gończe rosyjskie otrzymały klinowatą formę głowy, trójkątny układ i niewielki rozrost uszów, zakręcony ogon i sierć z dolnym puchem. Przeznaczenie ich też jest inne niż uprzednio rozważanych psów gończych, gdyż służą do polowania na wilki wespół z chartami. To też psy te odznaczają się niesłychaną odwagą, dzikością i wielką siłą.

Wyżły.

Ani chart, ani gończy nie odgrywają dzisiaj tak znacznej roli w myśliwstwie, jak psy legawe i wyżły. Te ostatnie powstały wraz z rozwijającym się polowaniem z sokołami. Potrzebne były do wypłaszania zwierzyny z traw lub oczeretów, na które potem puszczano sokoła. Psy tego rodzaju winny były wystawić czyli pokazać ukrytą zwierzynę. Od nich zasadniczo wywodzi się typ wyżła (pointer, chien d'arrêt, vorstehhund). Inny rodzaj polowania był z siecią. Po wykryciu zwierzyny zarzucano niewielką siatkę na nią, przykrywajcc równocześnie i psa, który z biegiem czasu nauczył się warować, przylegając przed zwierzyną. Ten rodzaj polowania dał początek psom legawym (setter, chient couchant). W zależności też od tego wszystkie psy służące do polowania na ptactwo dzielą się na dwie wielkie grupy: legawców i wyżłów. Pojęcia te są ogólnie dość błędnie używane, gdyż przeważnie tylko psy długowłose są za legawce uważane. Tymczasem wrodzoną skłonność do warowania przed zwierzyną mogą również posiadać psy krótkowłose i wtedy są legawcami.

Kwestję pochodzenia wyżłów (psów wystawiających) najsumienniej bodaj opracował W. Arkwright w swej cennej pracy „Pointer i jego historja". Na zasadzie szczegółowych i żmudnych badań odnośnej literatury starożytnej i średniowiecznej przyszedł Arkwright do wniosku, że psy wystawiające pojawiły się w wiekach średnich; pierwsze wiarogodne wiadomości o tych psach pochodzą z XIII wieku. Tenże Arkwright zgodnie z Buffon'em (Quadrupèdes, 1777) twierdzi, że pies wystawiający i gończy mają wspólnego protoplastę. Inaczej rzecz ujmując można z całą pewnością uznać wyżły za pochodne do gończych.

Najlepszym tego dowodem może służyć fakt, że słowo braque (fr.), włoskie — bracco, hiszpańskie braco, angielskie brach, które kiedyś używano jedynie jako określenie psa gończego—w średniowieczu odnoszono zarówno do psów wystawiających jak i gończych, później zaś oznaczano niem tylko wyżły.

Epagneules w Hiszpanji.

Ojczyzną wyżłów jest niewątpliwie Hiszpanja, która prócz psów wystawiających, wyprodukowała też pierwsze legawce czyli t. zw. épagneules. Były to niewielkie psy długowłose maści przeważnie kasztanowatej. Mogły się one dostać do Hiszpanji z Afryki i bardzo możliwe, że są to potomkowie, wyobrażanych na freskach legawców egipskich. W każdym razie na zachód Europy rozprzestrzeniły się napewno z Hiszpanji, na co bodaj nazwa wskazuje, chociaż obecnie podobno prawie ich niema we właściwej ojczyźnie. Otóż te psy długowłose hiszpańskie, skrzyżowano z krótkowłosemi pochodzącemi od gończych i w zależności od przewagi krwi wyhodowano mnóstwo odmian współczesnych wyżłów bądź długo, bądź krótkowłosych. Wszystkie te psy przez przelewanie swej krwi rozeszły się po całej Europie i dzisiaj z całą niemal pewnością można twierdzić, że każdy rasowy wyżeł, musi mieć w najbardziej oddalonych pokoleniach swego rodowodu pokład krwi hiszpańskiej. Z chwilą wynalezienia śrótu w wieku XVI polowanie z psami na ptactwo zaczęło się rozwijać w szybkim tempie i odtąd się datuje praca w kierunku wytworzenia idealnego wyżła.

Jan Grabowski.

(D. c. n.)

NIEDŹWIEDŹ.

Niedźwiedź, mieszkaniec całej północnej półkuli, zajmuje szerokie rejony Starego i Nowego Świata: znany jest w skalistych górach Ameryki, w Alasce,—od Kamczatki w całej Syberji do Urala—w północnej Rosji i Skandynawji—w naszych Karpatach i puszczy Białowieskiej; na Bałkanach i Alpach nie jest rzadkością. Anglja za czasów rzymskich była główną dostawczynią tych zwierząt do cyrków Cezarów, a pyrenejskiego misia do niedawnych jeszcze czasów (1870 r.) oprowadzano po Europie dla zabawy wiejskiej gawiedzi (tańcem i naśladowaniem pijanych). Pogoń za cenną skórą misia, szczególniej w Rosji była w czasach jakie opisuję (do 1914) wspaniałą rozrywką myśliwską, dla ludzi bogatych zaś dla białych mieszkańców borów i tajgi głównym i ważnym dochodem, niemal podstawą ich mizernego istnienia. To też wieś każda miała doświadczonych tropicieli, zadaniem których było wynalezienie zimowych leż — barłogów niedźwiedzich, doniesienie sołtysowi, ze swej strony uwiadamiającemu myśliwych, którzy niekiedy z bardzo oddalonych stron zjeżdżali, kupowali od gromady mużyckiej barłogi za znaczne sumy i w najbliższy poranek udawali się do lasów na łowy. Łowy takie w bardzo prosty odbywały się sposób. Kupa brodatych mużyków, nie rzadko bab i wyrostków towarzyszących im, uzbrojonych w rohatyny — dzidy — widły i topory stawała w dali od barłogu zwartem półkolem—tropiciel ustawiał myśliwych przed otworem barłogu w linję—sam zachodził z tyłu śpiącego zwierza i niepokoił go długą tyką. Zaspany zwierz ze złowrogim pomrukiem wypada z legowiska i w prostej zwykle linji ucieka na strzelców. Chybiony lub raniony czasami uderza na myśliwego, lub zawraca w tył—a wtedy zadaniem naganiaczy jest wrzaskiem i stukiem w zmarzłe drzewa zawrócić go na strzelców, gdzie ginie od celnego strzału, lub stacza z przeciwnikiem bój ostateczny, kończący się niekiedy katastrofalnie dla myśliwego. Jako dowód przytoczę tu wypadek z jednym z mych znajomych myśliwych, z 1913 r. Młody książę X., właściciel obszernych włości po ukończeniu edukacji wbrew przyjętym zwyczajom magnatów ruskich, nie zechciał szukać karjery i zaszczytów na dworze carów, osiadł na swej fortunie i oddał się życiu wiejskiemu. Wkrótce też zasłynął w okolicy, jako dobry gospodarz, użyteczny obywatel, a przedewszystkiem jako doskonały myśliwy i dobry strzelec. Chaszcze, pola, bór i tajga stały się jego domem; tam spędzał większą część swego życia—tam noc zastawała go na tokowisku głuszca i cietrzewia — rankami podjeżdżał rogacza rozmiłowanego, huk jego wystrzałów oznajmiał wieczorem skon wilka, rosomaka lub lisa. Tak płynęły miesiące i lata młodemu myśliwemu, gdy raz wracając ze zwykłej wyprawy spotkał na swej drodze młodą leśniczankę p. Kasię. Jej wyniosła postać—piękne oblicze o błękitnych dużych oczach, ciemną rzęsą przysłonionych — różowe usteczka, suty płowy warkocz małą głowę zdobiący wywarły głębokie wrażenie i wznieciły w jego sercu niepokój i nieznane dotąd uczucie. Odtąd wszystkie jego drogi do tajgi wiodły przez leśniczówkę, gdzie częstym bywał gościem. Widywano go wczesnym rankiem pędzącego tam konno—w ciepłe majowe wieczory późno wracającego. Widać i serce w kształtnej piersi p. Kasi zastukało silniej do młodzieńca, bo gdy go długo nie było w leśniczówce, p. K. wychodziła na drogę do Pozdół wiodącą, słała tam tęskny wzrok a pierś urocza podnosiła się pod ciężkiemi westchnieniami. Różnie tam mówiły złe babskie języki o tym stosunku młodej pary; widać w głuchej tajdze nie brak ich. Lecz prawdy dowiedzieć moglibyśmy się jedynie od rozłożystej starej lipy, świadka szczęśliwości zakochanych; może i księżyc mógłby nam coś o tem powiedzieć bo nieraz ciekawie zaglądał pod jej konary. Szybko też płynęły wieczory, dni, miesiące w miłosnem upojeniu naszej parze, przeszła prędko wonna wiosna, znojne lato, chłodne wiatry jesieni oznajmiały o niedalekiej zimie, a z nią nadchodziły łowy niedźwiedzie, tak upragnione przez księcia. W tym czasie w leśniczówce zjawił się nowy aspirant do małej rączki ślicznej Kasi, a widząc jej skłonność do księcia—poprzysiągł mu za swój zawód krwawą zemstę.

Powiały północne wichry, strząsnęły resztę suchego liścia z drzewa, napędziły tumany białego śniegu—zasypały nim pola i bory, ciężką okiścią pogięły młode drzewa, przystrajając knieje w fantastyczne łuki i tryumfalne bramy. Lasy przybrały odmienną fizjognomję utrudniającą orjentowanie się w nich. Mróz ścisnął białą powłoką, utrudnił powrót wysłanym do tajgi tropicielom. Młody myśliwy niecierpliwił się i zżymał coraz więcej. P. Wziatocznikow bardzo zainteresował się łowami księcia, ofiarował swą pomoc w zakupie amunicji w swem rodzinnem mieście, na co chętnie zgodził się nasz bohater. Z dobrą nowiną przybył wreszcie stary Osip, wilkiem tajgi zwany. W przeddzień wyjazdu księcia spędził dzień i wieczór w leśniczówce, narada z Osipem trwała długo wieczorem — w okienku K. światło do rana nie gasło. Z pierwszym brzaskiem dnia trójka siwoszy uniosła naszego myśliwego z przed ganku leśniczówki w dalekie lasy. Gdy jechali przez wioskę kilka bab zaspanych przebiegło drogę naszym podróżnym, idąc do krynicy po wodę. Osip uważał to za złą wróżbę, zdjął z kudłatej głowy baranią czapkę, przeżegnał się trzykrotnie zwyczajem ruskim, splunął trzy razy poza siebie, śmignął batem na konie i popędził dalej. W ostatniej wiosce pozostawili konie i w dalszą puścili się drogę pieszo. Osip, idąc przodem, szedł

wolno, często przystawał, drapał tył głowy, zapalał gasnącą mu ciąglę fajkę, spluwał zawzięcie i mruczał pod nosem; pan naglił do pośpiechu zżymał się na starego, który coś długo kluczył po lesie— czegoś szukał po drzewach, szedł coraz niechętniej. Wreszcie przystanął, niemem skinieniem ręki wskazał księciu wielki krzew, śniegiem zasypany, z pod obwisłych gałęzi którego ciemniał niewielki otwór.

Drżącą dłonią ścisnął książę ramię starego sługi i stanął u otworu śpiącego w barłogu zwierza. Osip ostrożnie zbliżył się z przeciwnej strony i długą tyką zaniepokoił zwierza. Wstrząsnął się las od groźnego ryku, zadrżały poruszone krzewy i z tumanu śnieżnego pyłu wyskoczył olbrzym czarny. Padł suchy trzask wystrzału, zwierz wspiął się na łapy i z groźnym rykiem runął na przeciwnika, a nim go dosięgnął huk powtórzonego strzału, rozdarł ciszę leśną. Zwierz jednym susem był przy myśliwym i wzniesioną swoją łapą rozmiażdżył mu czerep, a padającego pochwycił w swe silne pazury i rzucił pod siebie. Oniemiały z przerażenia strasznego widoku Osip, słysząc trzask druzgotanych kości swego pana i widząc kawały dartego ciała broczące śnieg wokoło, niepomny na własne niebezpieczeństwo, chwyta za topór z za pasa, podbiega i zadaje okrutnemu zwierzowi śmiertelny cios w jego kark potężny, poczem w swej rozpaczy i strachu ucieka od strasznego widoku i pędzi do leśniczówki ze straszną wieścią, przyjętą przez biedną K. z rozpaczą, z uśmiechem zadowolenia przez nikczemnego W. Śledztwo ustaliło winę występnego czynownika W., który w ostatniej chwili zamienił kulowe naboje na śrótowe drobne, zaledwie lekkiem draśnięciem raniące zwierza. Odtąd w leśniczówce zaległ głęboki smutek — na pięknem obliczu młodej K. nikt nigdy nie dojrzał już uśmiechu, postawiła w tajdze czarny krzyż dębowy, u podnóża którego długie lata spędzała na gorącej modlitwie. Osip, umierając wkrótce, prosił, by go obok jego ukochanego pana tam pochowano.

Wł. Czerniejewski.

(C. d. n.)

Tygrys na Polesiu.

Kłusownictwo na Kresach Wschodnich przybrało obecnie takie rozmiary i tak rozzuchwaliło miejscowych kłusowników, że ci ostatni podczas polowań, uważają myśliwych za intruzów, którzy wybijają „ich“ zwierzynę.

Na jednem z ostatnich polowań, na którem był zabity duży odyniec, a pozatem strzelano do kozłów i wilków, naganka nie zechciała dalej iść, licząc, że „i tak panam chwacić“ czyli wystarczy.

Na Polesiu każdy większy obszar leśny obfitujący w zwierzynę, oprócz swego właściciela de jure ma właściwego gospodarza — miejscowego chłopa kłusownika, najdokładniej znającego wszelkie przesmyki i każdy niedostępny zakątek.

Taki nemrod nie bardzo lubi zawierać nowe znajomości i aby go pozyskać, trzeba wejść z nim w dobrą komitywę: naturalnie przeważnie nie obchodzi się bez wódki. Gdy jednak zbliżenie nastąpi — staje się nieocenionym towarzyszem łowów.

Jednym z takich typów jest znany w Kosowskim powiecie Anton, z którym miałem przyjemność kilka lat temu zaznajomić się.

Wracaliśmy na jednym wozie z udanego polowania. W lesie jeszcze na cześć „pogrzebowego“ porządnie podpił, to też język mu się rozwiązał, tembardziej, że dowiedziawszy się od myśliwych, iż to taki sławny człowiek, starałem się go wyciągnąć na słowo.

Między innemi opowiedział mi ciekawe zdarzenie, autentyczność którego potwierdziło mi potem kilku miejscowych obywateli.

Kilkadziesiąt lat temu, latem z menażerji koło Mińska Litewskiego (odległość około 200 klm.) uciekł tygrys. Lasów wtedy było znacznie więcej i tygrys przepadł jak w wodę. Było dane znać do wszystkich urzędów policji i zawiadomiono gminy—ale nikt tygrysa nie spotkał. Powoli o tem zapomniano.

Nadeszła zima, spadł śnieg i nasz Anton ze swym synem wybrał się na łosie. Podczas tropienia łosi zobaczyli na śniegu niezwykły ślad, który ich zadziwił. Był to odcisk łapy, ale znacznie większy od wilczej. Nie wiedząc, co to może być za zwierz, poszli jego śladem.

Gdy syn zaszedł z jednej strony, a Anton znajdował się na skraju polanki, raptem wyskoczył jakiś straszny zwierz i w ogromnych susach sadził przez polanę.

Mając kule w lufach Anton z kolana strzelił dwa razy. Gdy go zapytałem, czy wiedział, że strzelał do tygrysa, otrzymałem bajeczną odpowiedź: „O panok, kab ja znau czto heto tihr, jaby nikoli nie strelau, ja dumaw czto eto niejakij czort“.

A zatem prędzej by strzelał do „czorta“, niż do tygrysa.

Uciekając od Antona, tygrys tymczasem trafił na jego syna, który też strzelił i zaczął straszmie krzyczeć.

Biegnąc na pomoc Anton myślał, że zwierz rozszarpał syna, ale zobaczył „czorta“ już leżącego, lecz starającego się rzucić. Wystrzelili obaj jeszcze po dwa razy i zwierza dobili, zdjęli skórę

i dodawszy dwa lisy, sprzedali za 25 rubli żydkom w Słonimie.

Wieść o zabiciu czorta rozeszła się w okolicy. Dowiedziała się o tem policja, która zabrawszy Antona, razem z weterynarzem opatrzyła ścierwo. Skonstatowano, że był zabity tygrys. Chciano łapać żydków, co kupili skórę, ale szukaj wiatru w polu.

Odtąd na Polesiu, a nawet i dalej znana jest ta opowieść, jak Antonz Iwacewicz zabił tygrysa w lasach Wiado-Tupickich.

Tadeusz Fedorowicz.

O zniszczeniu zwierzostanu na Podlasiu.

Ze wstydem i rumieńcem na twarzy zmuszony jestem podkreślić, iż w okolicy tutejszej w promieniu 80-ciu wiorst wyniszczyli doszczętnie zwierzynę nie prusacy, rosjanie, austrjacy, lecz, niestety, synowie tego pięknego, a tak obecnie ubogiego naszego kraju, to jest — ludność okoliczna. Od lat 15-tu mam szczęście pracować we wzorowo prowadzonem gospodarstwie leśnem, obejmującem w sobie nietylko stare i piękne drzewostany w ogromnych z wartych przestrzeniach, lecz i tysiące mórg młodnika i cudownie gonnej drągowiny.

Przed wojną w lasach tutejszych był znakomity zwierzostan, jako to: całe stada dzików, sarn, a na gruntach należących do dóbr, moc kuropatw na łąkach, pastwiskach, w krzakach spotykało się gromady cietrzewi, zaś brzegami zagajników przy wodach nierzadko dawał się słyszeć głos bażanta-koguta.

Po tragicznej śmierci właściciela tychże dóbr, Namiestnika Galicji, ś. p. hrabiego Andrzeja Potockiego, co rok urządzał polowanie opiekun tych dóbr, wówczas jeszcze małoletnich właścieli, hr. Ksawery Branicki i tylko w czterech leśnictwach przez cztery dni zazwyczaj upolowano do 30-tu dzików, pomiędzy którymi znajdowało się kilka potężnych odyńców, do 50-ciu rogaczy, kilkanaście lisów i kilka cietrzewi, a dziś smutno, głucho i pusto w tych wspaniałych kniejach, i słusznie powiedział przed laty — zdaje się mi — nadleśniczy, pan Grus, że „las bez zwierzyny, jest jak panna bez wdzięków“, pomimo, że sarny obgryzały mu kanadyjskie topole, obsadzone nad linjami w zagajnikach. Jak wyżej zaznaczyłem, że dzisiaj, jakby po przejściu moru azjatyckiego, można jeździć i chodzić całe tygodnie i nie spotka się jednej sztuki z tych pożytecznych stworzeń, chyba wiosennym wieczorem rozlega się głos krzykliwej czapli, przelatują często żerujące kaczki i można słyszeć miłosne chrapanie przeciągającej słonki, lub też na łąkach i bagnach chór żabi gra tylko pieśń jednostajną, gdzieś dalej i dalej usłyszy się szmery przelatującej sowy nad wierzchołkami drzew. Zaś odwieczne dęby i stare sosny skarżą się żałośnie swym potężnym szumem o niebywałem zjawisku — gdzież poszli nasi ukochani mieszkańcy, z którymi przeżyliśmy w zgodzie i harmonji całe wieki? — Po rozbrojeniu Niemców pozostało jeszcze dość dużo zwierzyny, sarn i dzików, tylko drobniejsza zwierzyna na polach i brzegach lasów została doszczętnie wybita.

Później okoliczna ludność, która, trzeba z uznaniem podkreślić, brała czynny udział w rozbrajaniu niemców, zatrzymała broń u siebie, tak, iż w niektórych wioskach było po kilkaset sztuk różnej palnej broni. Ogłupiana zaś stale przez apostołów swobody, a niedoszłych komisarów bolszewickich, rzuciła się najpierw do rabunku lasów i znowu, jak za czasów okupantów zaczęły padać tysiące masztowych sosen i dębów.

Broni zaś, pomimo nakazów tworzącej się wówczas tymczasowej władzy, nikt nie oddawał, a jak była potrzebna, to wiedzą ci, którzy w obronie Lwowa kładli swe młodociane życie i zdrowie w ofierze.

I zaczęło się niebywałe kłusownictwo—miejscowi włościanie po kilku i kilkunastu dniem i nocą całemi tygodniami kłusowali i wybijali systematycznie wszystko co się dało, a strzały dzień i noc padały, jak na rewjach. Wiadomo, że nasz podlaski chłopek, wiecznie zadumany, dotrze w takie miejsca, gdzie kto inny nie odważy się, a że jest bardzo wytrzymały i cierpliwy, więc zawsze zdobędzie to, co zamierzał.

Jak wyżej zaznaczyłem, całemi tygodniami trzeba jeździć i chodzić w rewirach, które są rozrzucone pomiędzy gruntami i wioskami włościańskiemi, ażeby spotkać się z sarną, o wiele ostrożniejszą obecnie od lisa. O ile nasz rząd nie zabierze się energiczniej do karania kłusownictwa, to zwierzyna przejdzie do historji, a kiedyś dzieci nasze będą opowiadać wnukom, że dawniej był u nas taki zwierz, a zwał się zając, który wieczorem lubił wychodzić na zieloną oziminkę, a przed świtem wracał ostrożnie do swej kotliny, gdy co zauważył podejrzanego stawał słupka, rozglądał się, wietrzył, a nie widząc niebezpieczeństwa, drapał się łapką z rezygnacją za uchem i kicał do lasu. A przyjdzie do tego o ile i w innych ziemiach polskich jest tak, jak na Podlasiu. Niestety, smutne to, ale prawdziwe—władza powiatowa wydaje nieraz pozwolenie na prawo trzymania broni zawodowym kłusownikom, mającym i tak różną broń wojskową w ukryciu.

Stanisław Nowakowski
leśniczy dóbr Międzyrzec.

(Dok. nast.)

Kronika Myśliwska.

Miejskie Tow. Myśliwych we Lwowie.

Miejskie Tow. Myśliwych we Lwowie polowało dnia 6. X w Sołonce; strzelb 19, na wykładzie 10 zajęcy i 2 lisy (p. Rawski i p. Świsterski).

Lwowskie Tow. Myśl. Nemrod.

Lwowskie Tow. Myśl. Nemrod polowało dnia 1. X w Oparowie; strzelb 16, na rozkładzie 56 zajęcy — królem polowania p. Bogdanowicz. Dnia 7. X. polowano na łąkach i polach w Mikłuszowie; strzelb 19, na rozkładzie 52 zajęcy, królem polowania p. Ceha. Widziano kilka stad kuropatw; zajęcy (mimo ustawicznego deszczu i wichru) bardzo wiele.

Rykowisko w Karpatach.

Rykowisko w Karpatach tego roku nie dopisało. Jelenie ryczały słabo lub wcale nie; przyczyną są gromady wilków i wogóle słaby stan jeleni. Wielu myśliwych wróciło bez wieńców.

Z Pińszczyzny.

W Berezcach nad Prypecią odbyło się dn. 7 b. m. polowanie na kaczki urządzone przez p. nadleśnego Fiszera. Zloty miejscami znaczne. Rezultaty nieduże z powodu złej pogody.

— W Lubelpolu pod Pińskiem na błocie kupiatyckim i lubelskim odbyło się dnia 8 b. m. polowanie na kaczki urządzone przez p. Józefa Błeszyńskiego. W cztery strzelby (pp. J. Błeszyński, Z. Bilski, J. i Fr. Ejsmondowie) ubito 59 kaczek.

Z TOWARZYSTW MYŚLIWSKICH

Towarzystwo Myśliwych w Rohatynie.

Towarzystwo Myśliwych w Rohatynie odbyło dnia 6 b. m. swe doroczne Walne Zgrom. Omawiano sprawę dzierżawy terenów do polowania, przyjęto nowych członków p. Miętusa, Kulczyckiego, Rzewuskiego, Jabłonowskiego, Georgea Scotta, ustalono wysokość wkładki ($^1/_4$ miljona mkp.) i płacę dla gajowych Wybory do Wydziału dały następujący wynik: prezes p. marszałek Cieński; wice-prezes p. Dr. Runge, sekretarz p. Komisarz Miętus, skarbnik p. Repa, łowczy p. Gustaw Rupp, członkowie Wydziału prof. Wacek i p. Kamieński.

Brzeskie Koło Łowieckie.

Brzeskie Koło Łowieckie prosi nas o wydrukowanie następującego pisma, które wystosowało do Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych.

Do Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych w Warszawie, Senatorska 15. Odpis do Województwa Poleskiego.

Wojna wszechświatowa, pozostawiając kraj w ruinie, dotkliwie i groźnie dała się odczuć i łowiectwu polskiemu. Pochody miljonowych armij idących naprzód i cofających się, rabunkowa gospodarka okupantów wyniszczyła zwierzostan miejscami, szczególnie na Kresach Wschodnich, doszczętnie. Po ukonstytuowaniu się władz poleskich na Kresach wyłoniły się i spiętrzyły najrozmaitsze sprawy i zagadnienia; rząd brzemienny w ogrom obowiązków — nie znalazł chwili do pomyślenia o sanacji w dziedzinie ustawodawstwa łowieckiego. Pozostały nam ustawy łowieckie dawne — ustawy b. zaborców, które bynajmniej nie odpowiadały i nie odpowiadają naszym lokalnym warunkom. Rząd oparł się na zdaniu organizacji i ludzi do tego niepowołanych, aby ferowali wyroki w sprawach łowiectwa na Kresach; mylne sądy odbiły się szkodliwie na rozwoju takowego. Poważne znaczenie ekonomiczne łowiectwa w produkcji krajowej zniewala nas do zabrania w tej kwestji głosu i zwrócenia się z prośbą do Ministerstwa o zajęcie się tą kwestją. W chwili powstania Państwa Polskiego na ziemiach położonych na wschód powołano Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich, który gwoli korzyści dla spraw łowiectwa wydał tymczasowe przepisy o ochronie zwierzyny; przepisy te dostosowane do wydanych na pozostałych terenach Rzplitej, wygasły z dniem 1 lutego 1923 r. Po ukonstytuowaniu się Województwa weszły w życie przepisy, obowiązujące w całej Rzplitej Polskiej, czemu dało wyraz Województwo, wydając karty łowieckie ze specjalnemi przepisami. Zdawało się, że sprawa powyższa nabrała cech ustawowego postępowania W tym okresie czasu opinja publiczna i cały świat myśliwski zaalarmowane zostały następującym faktem: w lutym bieżącego roku członkowie poleskiego T-wa Myśliwskiego zabili 3 kozły; powstała polemika w prasie, której zabrakło argumentów, gdy się dowiedziała o treści pisma Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych do Poleskiego T-wa Myśliwskiego z dnia 20/III 1923 r. Nr. 630.

W rzeczonym piśmie Ministerstwo wyjaśnia, że na Kresach obowiązuje dawna rosyjska ustawa ogłoszona w Dzienniku Praw (Tom 12, cz. II, str. 42). Oprócz tego dowiadujemy się z treści pisma, że T-wo otrzymało dla swoich członków 32 zaświadczenia, na podstawie których wolno członkom rzeczonego T-wa polować na kozły okrągły rok. A więc bez jakichkolwiek uzasadnień posiadamy ustawę rosyjską. Miast automatycznie po wygaśnięciu przepisów o ochronie wydanych praw Komisarza Generalnego Z. C. Z. W. wejść w życie ustawa obowiązująca na całym terenie Rzplitej — wtarga cynicznie dawna przestarzała ustawa rosyjska. Województwo dbałe jednak o rozwój łowiectwa nie wprowadziło w życie wspomnianej ustawy. Niecierpliwi „myśliwi“ wiedzą jednak o treści pisma Ministerstwa do Poleskiego T-wa Myśliwskiego i ze spokojem polują już od 1-go września, czyniąc wielkie spu-

stoszenia w zwierzostanie zajęczym, gdyż ten ostatni w chwili, gdy piszemy te słowa (druga połowa września), jest jeszcze w 90% nie rozwinięty. A zatem pismo Ministerstwa stwarza wielkie pole do popisu dla legalnych kłusowników, oraz wpycha nas w stosunki niepraworządne, gdyż przepisy Województwa i Ministerstwa wzajemnie dezawuują się.

Reasumując powyższe — prosimy Ministerstwo o wyjaśnienie rzeczowe tej kwestji i rozciągnięcie przepisów na Kresy, obowiązujących na terenie całej Rzplitej Polskiej.

za prezesa: *B. Frydrychowicz.*
za sekretarza: *B. Woronicz.*

Walne Zgromadzenie Brzeskiego Koła Łowieckiego.

W dniu 19 września r. b. w Brześciu n./Bugiem odbyło się walne zgromadzenie członków Brzeskiego Koła Łowieckiego. Posiedzenie zagaił p. J. Kuroczycki, którego powołano na przewodniczącego; sekretarzował p. Mieczysław Brodziński. Po odczytaniu protokółu, zdał przed zebranymi sprawę z minionego okresu p. Bolesław Frydrychowicz, redaktor „Głosu Poleskiego“. W ciągu omawianego okresu Zarząd prowadził energiczną akcję opanowania jak najwiekszej ilości terenów łowieckich w powiecie. Zawarto szereg umów z wsiami, a nawet z gminą Kamieniec-Żyrowiecką. Teren rządowych lasów Nadleśnictwa Brzeskiego wzięto wspólnie z Sekcją Myśliwską Klubu Sportowego D. O. K. IX. Polowania na terenie lasów rządowych odbywać się będą tylko zbiorowo, inne zaś tereny mogą służyć do polowań w pojedynkę lub grupami. Zarząd wszedł w porozumienie z Sekcją Myśliwską co do zasady podziału polowań, ponoszenia kosztów związanych z wynajęciem terenu, utrzymania służby ochronnej etc. W ciągu omawianego okresu liczba członków, wzrosła do 55 czynnych i 3 honorowych; jeden z członków, ś. p. T. Śliwiński, uległ katastrofie i poniósł śmierć, — zebrani uczcili pamięć zmarłego przez powstanie. Zarząd wydał cały szereg opinij o starających się w starostwie o zezwolenie na broń typu myśliwskiego i kartę łowiecką; wszyscy, o których opinje wydano, są w ewidencji Koła i są obowiązani w pewnych prekluzyjnych terminach składać relację o przejawach kłusownictwa w okolicy. Zarząd Koła był w stałym kontakcie z województwem i starostwem w sprawach łowieckich i współdziałał z władzami w akcji przeciwkłusowniczej.

Z kolei obrad wysunęła się dość ważna sprawa prezesury Koła. Nowoobrany prezes na poprzedniem walnem zebraniu, p. Oktawjusz Nelard godności tej nie przyjął z powodu nawału obowiązków, jakie na jego osobie ciążą. Postawiona kandydatura Teodora Tołłoczki, prezesa Brzeskiego Okręgowego T-wa Rolniczego, przeszła jednogłośnie.

Następnie p. Woronicz, skarbnik Koła, zapoznał zebranych ze stanem kasy. Składkę, zebrani ustalili na 1 złoty pol. miesięcznie, która winna być wpłacona za każdy kwartał z góry i najdalej w ciągu miesiąca następnego kwartału; w razie nieuiszczenia składki, Zarząd po dwukrotnem przynagleniu skreśla członka z listy, na którą może powtórnie wpisać się po wpłaceniu ponownie udziału“. Udział ustalono na 5 złp.

W dalszym ciągu obrad postanowiono zmienić nazwę organizacji z „Brzeskie Kółko Łowieckie“ na „Brzeskie Koło Łowieckie“, a to ze względu na obszerniejszy zakres działania, jakie sobie organizacja zakreśliła.

W celu bardziej sprzężystej działalności Koła, postanowiono w myśl Statutu powołać do życia Komisję Łowiecką, w skład której oprócz zarządu wchodzi miejscowy starosta, nadleśniczy, prezes Okręgowego T-wa Rol. i przedstawiciel mniejszej własności. Zebrani następnie postanowili, aby przed otwarciem sezonu jesiennego Zarząd Koła wraz z wyłonioną Komisją Regulaminową opracował Regulamin Koła z precyzowaniem niektórych punktów. Do wspomnianej Komisji powołano pp. Podgórskiego, Fedorowicza, Szperlinga, Szeligę—Łańcuckiego i Leśniewskiego. Przed rozpoczęciem się jesiennego sezonu każdy z członków otrzyma kartę legitymacyjną, na podstawie której będzie miał prawo polować na wydzierżawionych terenach. Za wprowadzenie gościa na teren Koła, członek, po uprzedniem powiadomieniu Zarządu, wpłaca do kasy 25 groszy pol.

W szeregu wolnych wniosków wysunięto między innemi myśl zaprenumerowania przez członków, „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“. W końcu postanowiono, że Koło ma wystąpić do miarodajnych czynników z szeregiem projektów do ustawy lowieckiej, dostosowanej do lokalnych warunków.

Wynik konkursu wyżłów dowodnych.

Centralne towarzystwo kinologiczne urządziło łącznie z towarzystwem nowotomyskiem dnia 15 września r. b. w Starym Tomyślu (wojew. poznańskie) konkurs wyżłów dowodnych, na który zgłoszono jedenaście kandydatów.

Nie stanęło do popisów dwóch kandydatów: jeden z nich przeszedł jeszcze przed konkursem w inne ręce, drugi zachorował.

Z dziewięciu pozostałych wyżłów otrzymały nagrody:

1) „Niksa“, wyżlica p. Raszke'go (Powałki, pow. chojnicki, Pomorze) drugą nagrodę, dyplom uprawniający do zarejestrowania w księdze rodowodowej, oraz premję dodatkową w postaci tacy mosiężnej z sześciu rżniętemi kieliszkami.

2) „Ingo“, wyżeł p. Gramowskiego, trzecią nagrodę, dyplom do księgi rodowodowej, oraz premje dodatkowe: kryształowe pudełko do papierosów z wiekiem mosiężnem, przedstawiającem tokującego głuszca, i opust;

3) „Helli“, wyżlica p. Gersdorfa, trzecią nagrodę, dyplom do księgi rodowodowej, oraz premje dodatkowe: masielniczkę o podstawie i wieku metalowem i 50,000 mk. (za najlepszą

pracę w suchem polu), danych do dyspozycji sędziów przez p. Ign. Jasińskiego ze Strzelna;

4) „Hejko“, wyżeł p. Jasińskiego, już zapisany do księgi rodowodowej na podstawie trzeciej nagrody, uzyskanej na zeszłorocznym konkursie, trzecią nagrodę, i jako premję dodatkową butelkę szampana;

5) „Rino“, wyżeł p. Gramowskiego młodszego, trzecią nagrodę, dyplom do księgi rodowodowej, i jako premję dodatkową mosiężną popielniczkę.

Pozatem otrzymali pochwałę: „Raul“, wyżeł p. Gersdorfa, i „Iwan“, wyżeł p. Szulczewskiego. Jako upominek i zachętę do dalszej pracy przyznano właścicielom dwóch tych młodych jeszcze wyżłów metalową popielniczkę i kij myśliwski, które to przedmioty oddał do dyspozycji sędziów puszkarz p. Minke z Poznania.

Sędziowie konkursu: Bromnitz, Dolner, Duske, Marweg, ks. Niedbał, Suszczyński.

Szanownej Redakcji „Przeglądu Myśl. i Łowiectwa Polskiego“ przesyłam w imieniu kolegjum sędziów konkursowych wynik konkursu wyżłów dowodnych.

Cześć łowcom!

Ksiądz Niedbał.

ROZMAITOŚCI.

Ile państwo polskie posiada lasów państwowych?

Według urzędowych danych statystycznych, ogólna powierzchnia lasów państwowych w Polsce wynosi 2,884,677 ha, z czego na powierzchnię produkującą drzewo wypada 2,524,850 ha. Wartość tych lasów, obliczona w końcu grudnia 1922 r. wynosi 3,785,485 tysięcy franków złotych; wartość rocznej produkcji drzewa równa się 72,451,000 fr. zł.

Administracja powyższych terenów podzielona jest na t. zw. zarządy okręgowe lasów państwowych, to znowu na nadleśnictwa. Na poszczególne zarządy okręgowe wypadają następujące obszary leśne: Okręg Warszawski 2227357 ha, Radomski 241377 ha, Siedlecki 334235 ha, Łuck 31694 ha, Białowieski 491999 ha, Wileński 4002130 ha, Lwowski 306312 ha, Poznański 219945 ha, Toruński 320872 ha, Górny Śląsk 9673 ha.

Cyfry powyższe nie obejmują lasów, stanowiących własność prywatną.

Jak należy upolowaną zwierzynę transportować aby nie uległa zepsuciu.

Właśnie jesteśmy w sezonie, gdzie niejeden z nas jedzie na dalekie wyprawy, na dzikie kaczki i z góry już martwi się: co będzie jak mu się poszczęści i dużo nabije? Podzielając ten smutek, zasięgnęliśmy rady znanej i szeroko cenionej pani Norkowskiej.

Najwłaściwszy i najpewniejszy sposób byłby zaraz na miejscu peklować oczyszczone kaczki, tak jak szynki do wędzenia, i odrazu na miejscu wędzić.

Gdyby to ostatnie było niewykonalne, to przewozić w stanie peklowanym do domu i tu wędzić. Przewozić można tylko w zamkniętych prawie hermetycznie naczyniach, co również wiele nastręcza trudności.

Pozostaje jeszcze jeden sposób i ten może każdy stosować z doskonałym rezultatem.

Kaczki zabite każdego dnia, o ile są suche, należy patroszyć starannie, rozcinając skórę, by miejsce opróżnione zastąpić jakimś pakunkiem; miejsce to musi być bardzo dokładnie wytarte, aby nie było tam nic mokrego; otwarte miejsce trzeba posolić i dokładnie, szczelnie wypchać suchem igliwiem, wełną drzewną lub suchą trawą. Sól trzeba wsypać i w dzioby kaczek, co także przyczynia się do dezynfekcji i trwałości w drodze.

Naturalnie wielką usługę oddawałoby zamrażanie, gdyby to było możliwe.

RYKOWISKO.

Wrzos zakwitł!
Kobierzec godowy
w liljowych płatach rozsnuł się po borze
pośród zielonych mchów—jak morze
ametystowej lawy. —
Poważnie zamilkł bór sosnowy.
I zda się opustoszał jak w oczekiwaniu
kiedy król puszczy niby grzmot zawoła:
W miłości taniec!
Do mnie rywale!
Do koła!

Na płonących ogniami wieczornego słońca
szmaragdowych zagajach i liljowych wrzosach
rozsnuły się przecudne srebrne pajęczyny
rozpięte na sosnach—kolosach.

Słońce już zaszło!
W dali gorze jeszcze rżysko.
Jakieś stęknięcie słyszę głuche.
Dzisiaj rykowisko!

Auuu —, jak grzmot ozwały się ryki
Krótkie, wysokie — zapalnej młodzieży...
Ueee —, przeciągłym basem stare byki
na bój wzywają rywali — szermierzy,
I przed ich głuchem mocarnem wyzwaniem
uciekła młodzież. — Tylko zew rywali
naprzemian się powtarzał i ginął w oddali. —

Dwa najbliższe ku sobie zbliżały się z rykiem
i po chwili się zwarły. Słychać tylko było
krótkie stękanie i jakby patykiem
w płot uderzał. Wieńcami tak bodły się wzajem
Jak turkot wozu tak w lesie dudniło.
Po chwili zagrzmiał znowu zwycięzcy okrzykiem
ten, co otrzymał pole i płci pięknej rój.
Lecz nie cieszył się jeszcze rozkoszy swej rajem
tylko ciągle wyzywał rywali na bój...

Stanisław Woszczyński.

UZUPEŁNIENIE.

W uzupełnieniu ilustracji pomieszczonej w zeszłym numerze zaznaczamy, iż została ona przerobiona przez Wł Korsaka z fotografji zdjętej przez gen. Bronisława Grąbczewskiego.

Prosimy naszych czytelników, by w korespondencjach i przy zamówieniach powoływali się na ogłoszenia w „Przeglądzie Myśliwskim i Łowiectwie Polskiem".

Z powodu szeregu zapytań naszych abonentów, zawiadamiamy, iż

Administracja i Ekspedycja

znajduje się tylko w Warszawie, a nie w Poznaniu

i że należytość za prenumeratę wysyłać należy przez czek **№ 7595**, a nie czek Poznań № 200.168.

ADMINISTRACJA
„PRZEGLĄDU MYŚLIWSKIEGO i ŁOWIECTWA POLSKIEGO".

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redaktor przyjmuje od godziny 6 — 7 wieczorem w poniedziałki i czwartki.

Redakcja: Szpitalna 1. **Administracja: Szpitalna 12. Warszawa**

Numer pojed. — **10.000** mk. Prenumerata mies. (z odsył. do domu) — **20.000** mk.; Konto czekowe w P. K. O. № 7595

Cena ogłoszeń: strona — **2.000.000** mk.; 1/2 str. — **1.00.000** mk.; 1/4 str. — **500.000** mk.; 1/8 str. — **300.000** mk.

Administracja, Szpitalna Nr. 12. Druk. Sp. Wyd. Pow., Szpitalna Nr. 1.